

Eddie Flynn to młodszy,
bardziej porywczy brat Jacka Reachera.

„IRISH TIMES”

Steve Cavanagh

OBRONA

Wygra proces.
Albo przegra **ŻYCIE.**



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE DEFENCE

Copyright © Steve Cavanagh 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Grupa Wydawnicza FILIA 2024

Korekta: Sabina Raczyńska, Urszula Okrzeja

Projekt graficzny okładki: www.headdesign.co.uk

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Zrobisz dokładnie to, co powiem, albo wpakuję ci kulkę w kręgosłup.

W głosie mężczyzny wyczuwało się akcent z Europy Wschodniej. Nie dosłyszałem w nim drżenia ani śladu obawy. Brzmiał równo, miarowo. Nie jak groźba, ale jak stwierdzenie faktu, ostrzeżenie. Jeżeli nie zechcę współpracować, koniec ze mną.

Wyraźnie czułem lufę wciskającą się w plecy. W pierwszym instynktownym odruchu zamierzałem naprzec na nią mocno i szybko szarpnąć w lewo, by kula mnie ominęła. Facet prawdopodobnie był praworęczny, co oznaczało, że ma skłonność do odsłaniania lewej flanki. Wykorzystując lukę, mogłem uderzyć go łokciem w twarz, a odwracając się, miałbym dość czasu, żeby zadać cios w przegub ręki i wytrącić mu broń, a potem wymierzyć ją w jego czoło. Ale tego, kto mógłby to wszystko zrobić, już nie było. Nie istniał. Dawno go pogrzebałem. Teraz zamiast niego był tu jakiś słaby, rozlazły mięczak. Jak zawsze, gdy stajesz się uczciwy i idziesz prostą drogą.

Z kranu do porcelanowej miski płynął strumień wody. Czułem drżenie palców, podnosząc mokre ręce w geście podania.

– Nie musi pan tego robić, Flynn.

A więc zna moje nazwisko. Trzymając się umywalki, uniosłem głowę i spojrzałem w lustro. Nigdy przedtem nie widziałem tego faceta. Wysoki, szczupły, na szarym garniturze nosił brązowy płaszcz. Miał ogoloną głowę, twarz przecinała blizna biegnąca pionowo od lewego oka do szczęki. Przyciskając mocno lufę do mojego kręgosłupa, powiedział:

– Teraz wyjdziemy z łazienki. Włóżysz płaszcz. Zapłacisz za śniadanie i razem opuścimy ten lokal. Musimy porozmawiać. Jeżeli zrobisz to, co powiem, wszystko będzie dobrze i nic ci się nie stanie. Jeżeli nie, jesteś trupem.

Utrzymywanie kontaktu wzrokowego. Żadnego zaczerwienienia twarzy czy szyi, żadnego mimowolnego ruchu, ani jednego zbędnego słowa. Natychmiast poznam cwaniaka albo kanciarza. Ale to nie był cwaniak, tylko zawodowy zabójca. Nie był pierwszym zabójcą, który mi groził, i pamiętałem, że poprzednim razem przyjmowałem to spokojnie, myśli miałem jasne, nie panikowałem.

– Idziemy – rzucił.

Cofnął się o krok i uniosł broń, żebym widział ją w lustrze. Wyglądała na autentyczną. Srebrny rewolwer z krótką lufą. Od pierwszej chwili wiedziałem, że groźba jest prawdziwa, lecz teraz przeniknął mnie dreszcz strachu. Poczułem ucisk w piersi, gdy serce zaczęło bić szybciej. Zbyt długo byłem wyłączony z gry. Musiałem jasno myśleć i nie panikować. Rewolwer zniknął w kieszeni płaszcza. Mężczyzna wskazał mi ręką drzwi. Koniec dyskusji.

– Okej – powiedziałem.

Dwa lata studiów prawniczych, dwa i pół roku na stanowisku asystenta sędziego i niemal dziewięć lat w roli praktykującego obrońcy, a teraz miałem do powiedzenia tylko „okej”. Wytarłem namydlone ręce o spodnie i przeczesalem palcami ciemnoblonde włosy. Wyszedł za mną z łazienki i przeszliśmy przez pustą teraz restaurację do miejsca, gdzie powiesiłem płaszcz. Włożyłem go, rzuciłem pięć dolców za kawę i skie-

rowałem się do drzwi na zewnątrz. Człowiek z blizną szedł tuż za mną.

Knajpa Teda zawsze była moim ulubionym miejscem rozmyślań. Już nie pamiętam, ile w tych boksach obmyślałem strategii procesowych, pokrywając stoliki notatkami z oględzin zwłok, fotografiami ran postrzałowych i poplamionymi kawą aktami spraw. W dawnych czasach nie jadałem śniadań codziennie w tym samym miejscu. To byłoby zbyt ryzykowne. Teraz, w nowym życiu, cieszyły mnie poranne posiłki u Teda. Tu czułem się wyluzowany, nie oglądałem się ciągle przez ramię. A to źle. Gdybym zachował dziś czujność, pewnie bym dostrzegł, jak ten facet się do mnie zbliża.

Wychodząc z knajpy na ulicę w samym sercu miasta, czułem się, jakbym wstępował w bezpieczny świat. Chodniki wypełniali ludzie spieszący do pracy – i to dodawało mi otuchy; facet nie odważy się zastrzelić mnie w centrum Nowego Jorku, na Chambers Street, o ósmej rano, w obecności trzydziściorga świadków.

Skrecając w lewo od wyjścia z knajpy, zatrzymałem się przed zlikwidowanym sklepem z artykułami żelaznymi. Zastanawiając się, czego ten człowiek ode mnie chce, czułem, jak moja twarz zaczyna się czerwienić pod wpływem listopadowego wiatru. Może przed laty miał jakąś sprawę, której już nie pamiętam? Mężczyzna z blizną podszedł do mnie. Teraz staliśmy przed zasłoniętym deskami oknem wystawowym. Zbliżył się do mnie tak, żeby nie mogli nas rozdzielić przechodnie. Na jego twarzy malował się uśmiech wyginający w łuk bliznę na policzku.

– Rozepnij płaszcz i zajrzyj pod niego, Flynn.

Zeszywniałymi palcami przeszukałem niezdarnie kieszenie, ale nic nie znalazłem. Rozpiąłem płaszcz. Od razu zauważyłem niby rozdarcie, jakby jedwabną podszewkę odezwano wzdłuż ściegu. Ale to nie było to. Po dłuższej chwili zorientowałem się, że pod płaszczem znajdowała się cienka

czarna kamizelka, jakby druga podszewka. Przedtem jej tam nie było. Ten facet musiał wsunąć ją pod spód, gdy byłem w łazience. Przesunąłem palcami po plecach i wyczułem rzep zamykający kieszeń schodzącą w dół do talii. Rozdarłem rzep i wsunąłem rękę do środka. Wyczułem luźną nitkę.

Wyciągnąłem ją z ukrytej kieszeni.

Ale to nie była zwykła nitka; to był giętki drucik.

Czerwony drucik.

Przesunąłem palcami wzdłuż niego i wyczułem cienkie plastikowe pudełko oraz jakąś gmatwaninę drucików, a później dwa prostokątne wybrzuszenia po obu stronach pleców.

Zatkało mnie.

Miałem na sobie bombę.

Nie musiał do mnie strzelać na Chambers Street na oczach trzydziściorga świadków. Mógł mnie wysadzić w powietrze z Bóg wie iloma jeszcze innymi ofiarami.

– Nie próbuj uciekać, bo zdetonuję to. Nie próbuj zdjąć tego z siebie. Nie próbuj zwracać na siebie uwagi. Nazywam się Arturas. – Wymówił to imię „Ar-toras”, ciągle się uśmiechając.

Zaczerpnąłem powietrza, z trudem zmuszając się do odychania.

– Spokojnie – powiedział Arturas.

– Czego chcesz? – spytałem.

– Mój pracodawca zamierza wynająć twoją firmę jako jego reprezentanta. Mamy do załatwienia niedokończony interes.

Ulżyło mi; nie chodziło o mnie. Chodziło o moją starą firmę prawniczą. Od razu pomyślałem, że mogę tego faceta wciśnąć Jackowi Halloranowi.

– Przykro mi, kolego, ale to nie jest już moja firma. Rozmawiasz z niewłaściwym facetem. A tak przy okazji, dla kogo pracujesz?

– Myślę, że znasz to nazwisko. Dla pana Wołczeka.

O cholera! Miał rację. Znałem to nazwisko. Oleg Wołczek

był bossem rosyjskiej mafii. Mój były wspólnik, Jack Halloran, zgodził się go reprezentować na miesiąc przed naszym rozstaniem. Wtedy Wołczeka czekał proces o zabójstwo – chodziło o porachunki gangsterskie. Nigdy nie zapoznałem się z aktami sprawy, nawet nie spotkałem tego mężczyzny. W tym czasie zajmowałem się tylko obroną Teda Berkleya, maklera giełdowego, który rzekomo brał udział w porwaniu, i zawałem sprawę. Kompletnie się załamałem, a potem, gdy już jakoś się otrząsnąłem, okazało się, że straciłem rodzinę, więc topiłem smutki w morzu whiskey. Prawie rok temu porzuciłem zawód prawnika, a Jack z przyjemnością przejął po mnie firmę. Nie byłem w sali sądowej, odkąd ława przysięgłych wydała wyrok w sprawie Berkleya – i nie miałem zamiaru na razie wracać do zawodu.

Jack to inna historia: miał problemy z hazardem. Ostatnio słyszałem, że chce sprzedać firmę i wyjechać z miasta. Pewnie wziął już zaliczkę od Wołczeka. Prawdopodobnie ruscy mafiosi nie mogli znaleźć Jacka, dlatego zaczęli szukać mnie – chcieli zwrotu pieniędzy, stosując stare jak świat metody. Czy to może oznaczać, że już jestem bankrutem? Będę musiał im zwrócić tę cholerną forszę. Jak zwrócę, wszystko będzie okej. Zapłacę temu facetowi i będzie dobrze... Nie był terrorystą. Był gangsterem. A gangsterzy nie detonują ładunków wybuchowych na plecach facetów, którzy są im winni pieniądze. Oni chcą tylko, żeby im zapłacono.

– Posłuchaj, tak naprawdę szukasz Jacka Hallorana. Nigdy nie spotkałem pana Wołczeka. Jack i ja nie jesteśmy już wspólnikami. Ale w porządku, jeżeli chcesz zwrotu zaliczki, mogę ci zaraz wypisać czek.

Inna sprawa, czy ten czek będzie miał pokrycie. Właściwie zostało mi na koncie nieco ponad sześćset dolarów, zalegałem z czynszem, z rachunkami za rehabilitację i nie miałem żadnych dochodów. Głównym problemem były opłaty za leczenie odwykowe, ale po odstawieniu takich ilości whiskey bez

terapii z pewnością byłbym już trupem. Musiałem sięgnąć po pomoc specjalistów. Stwierdziłem, że nie wyprodukowano na świecie tyle Jacka Daniel'sa, bym zdołał usunąć z pamięci to, co się stało w sprawie Berkleya. Ostatecznie uwolniłem się od alkoholu i doszedłem do porozumienia z wierzycielami. Stało się to po dwóch tygodniach od rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Jeżeli Rosjanie oczekują więcej niż kilkuset dolców, jestem załatwiony na cacy.

– Pan Wołczek nie chce twojej forsy – oznajmił Arturas. – Zatrzymaj ją sobie. Możesz nawet na tym zarobić.

– Co masz na myśli, mówiąc „zarobić”? Posłuchaj, wypadłem z obiegu. Prawie rok temu pożegnałem się z zawodem prawnika. Nie mogę ci pomóc, ale mogę zwrócić panu Wołczekowi zaliczkę. Tylko proszę, zdejmij to ze mnie – powiedziałem i chwyciłem płaszcz, gotów go zdjąć.

– Nie – odparł. – Ty, adwokat, nic nie rozumiesz. Pan Wołczek chce, żebyś coś dla niego zrobił. Masz zostać jego obrońcą i on ci za to zapłaci. Musisz to zrobić. Albo w tym życiu nic już więcej nie zrobisz.

Czułem, jak w panice głos więźnie mi w ściśniętym gardle. To nie miało żadnego sensu. Byłem przekonany, że Jack uświadomił Wołczeka, że odszedłem z zawodu i już nie poradzę sobie z żadną trudną sprawą.

Przy krawężniku zatrzymała się długa, wypasiona biała limuzyna. Na wywoskowanej karoserii zobaczyłem swoje zniekształcone odbicie. Siedzący na tylnej kanapie pasażer otworzył drzwi, mój wizerunek wykrzywił się i zniknął. Arturas stanął obok otwartych drzwi i skinął na mnie, wskazując ręką, żebym wsiadał. Próbowałem się opanować: odetchnąć głębiej, zwolnić rytm serca; rozpaczliwie tłumilem chęć wymiotowania. Dzięki przyciemnionym szybom w limuzynie panował mrok. Czułem, że za chwilę pograżę się w czarnej toni.

Przez moment jakimś cudem wszystko znieruchomiało

– tak jak ja i te szeroko otwarte drzwi auta. Gdybym chciał uciec, nie dobiegłbym daleko. Ale jeśli wsiądę do limuzyny, znajdę się blisko Arturasa. Wiedziałem, że wtedy nie odważy się odpalić bomby. Cały czas przeklinałem siebie, że nie jestem już tak bystry i zręczny jak dawniej, gdy działałem na ulicy. Zanim w ogóle zacząłem studia prawnicze, robiłem w konia adwokatów zarabiających miliony dolarów. Byłem wtedy na tyle bystry i zręczny, że z pewnością dostrzegłbym tego faceta, zanim zbliżyłby się do mnie na odległość trzech metrów.

Podjąłem decyzję: wszedłem do króliczej nory.

ROZDZIAŁ DRUGI

Siadając i opierając się, poczułem na plecach ucisk bomby.

Z tyłu limuzyny było czterech mężczyzn. Arturas wszedł za mną i zamknął drzwi. Zajął miejsce po mojej lewej stronie; z twarzy nie schodził mu ten niepokojący uśmiezek. Słyszałem pomruk silnika, ale auto cały czas stało przy krawężniku. Poczulem zapach tłącego się cygara i nowej skóry na kanapach. Od kierowcy oddzielała nas zaciemniona szyba.

Na podłodze stała biała skórzana torba sportowa. Po mojej prawej stronie dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach siedziało na kanapce dla sześciu pasażerów. Byli dziwacznie ogromni, jak postaci z bajki. Pierwszy miał długie blond włosy związane na karku w koński ogon. Drugi, z krótkimi brązowymi włosami, wydawał się ogromny – jego głowa była wielkości piłki do koszykówki – ale i tak mógłby uchodzić za karzełka w porównaniu z gigantycznym blondynem. Mimo to właśnie on zrobił na mnie najgorsze wrażenie. Wydawało się, że jego twarz nie odzwierciedla żadnych emocji, żadnych uczuć – lodowato groźne spojrzenie półmartwej duszy. Jeśli jesteś bystrym kanciarzem, polegasz na swoich umiejętnościach i zawsze wiesz, co powiedzieć. Potrafisz manipulować czyimiś emocjami i panować nad naturalnymi ludzkimi odruchami, ale istnieje pewien rodzaj ludzi nieczułych na zwykłe odruchy; każdy normalny facet z miejsca ich rozpozna i

będzie się starał trzymać od nich z daleka – bo to psychopaci. Olbrzym z brązowymi włosami wyglądał jak podręcznikowy psychol.

Naprzeciwno mnie siedział Oleg Wołczek. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Nieogoloną twarz okalała siwiejąca szczecina. Włosy również były przyprószone siwizną. Mógłby uchodzić za przystojnego mężczyznę, gdyby nie wrogość, jaka wyraźnie biła z jego oczu, zdecydowanie niszcząca pierwsze korzystne wrażenie. Rozpoznałem go ze zdjęć w gazetach i z telewizji; był bossem mafii, zabójcą, dilerem narkotykowym.

Ale było też pewne jak diabli, że nie zostanie moim klientem.

Przez całe życie miałem do czynienia z ludźmi takimi jak Wołczek – byli moimi przyjaciółmi, wrogami, a nawet klientami. Bez względu na to, skąd pochodzili – z Bronxu, Compton, Miami czy Małej Odessy – szanowali tylko jedno: siłę. I teraz nie mogłem im pokazać, jak cholernie się boję, bo natychmiast stałbym się trupem.

– Nie pracuję dla ludzi, którzy mi grożą – oświadczyłem.

– Nie masz wyboru, Flynn. Już jestem twoim nowym klientem – odparł Wołczek. Mówił nieco łamaną angielszczyzną, z silnym rosyjskim akcentem. – Czasem, jak to mówicie wy, Amerykanie, trzeba wdepnąć w gówno. Jeżeli chcesz, możesz za to winić Jacka Hallorana – dodał.

– Owszem, winię go za wiele rzeczy. Dlaczego to nie on ciebie reprezentuje? Gdzie jest?

Wołczek spojrzał na Arturasa i przez chwilę kopiował jego niezmywalny uśmiešek. Potem skierował wzrok na mnie i powiedział:

– Jack Halloran, zgadzając się wziąć moją sprawę, stwierdził, że jest z góry przegrana. Wiedziałem o tym, bo wcześniej zwróciłem się do czterech innych firm prawniczych. A jednak podjął się zrobić to, czego inni nie byłiby w stanie

zrobić. Zapłaciłem mu i dostał tę robotę. Niestety, nie dotrzy-
mał umowy.

– To niedobrze. Ale to mnie nie dotyczy – stwierdziłem,
starając się opanować drżenie głosu.

– I tu się mylisz – powiedział Wołczek.

Wyjął z leżącego obok niego złotego pudełka małe cygaro
w kolorze czekolady, przyciął je, zapalił i kontynuował:

– Dwa lata temu kazałem załatwić pewnego mężczy-
znę, Mario Geraldo. Poprosiłem o to Małego Benny’ego. Po
wszystkim dał się złapać i wygadał się FBI. Dostarczył dowo-
dy, że to ja zleciłem zabójstwo. Wszyscy adwokaci, z którymi
się kontaktowałem, mówili, że Benny będzie gwiazdą wśród
świadców oskarżenia i że dzięki dostarczonym przez niego
dowodom zostanie skazany. Co do tego nie mieli wątpliwości.

Tak mocno zaciskałem szczękę, że już zaczynała mnie bo-
leć.

– Benny siedzi w areszcie FBI i jest dobrze chroniony. Nie
mogły do niego dotrzeć nawet moje wtyki. Jako mój adwokat
będziesz miał okazję się do niego dostać. – Ściszył głos i do-
dał: – Przed przesłuchaniem Benny’ego zdejmiesz kamizelkę
i kiedy sąd będzie jeszcze pusty, przyczepimy bombę w miej-
scu dla świadka. Gdy Benny tam stanie, zdetonujemy ją. Nie
ma Benny’ego, nie ma sprawy, nie ma problemu. Ty będziesz
zamachowcem, Flynn. Pójdiesz do więzienia. Prokurator nie
znajdzie innych dowodów mojej winy i będę wolny.

– Zwariowałaś, sukinsynu – skwitowałem.

Z początku Wołczek nie zareagował. Nie wściekł się i nie
groził. Przez chwilę siedział nieruchomo, potem pochylił
głowę, jakby rozważając jakieś opcje. Gdyby nie dudnienie
mojego serca, w aucie panowałyby niczym niezmacona cisza.
Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zapracowałem na
kulkę. Nie mogłem oderwać wzroku od Wołczeka, ale równo-
cześnie czułem, że wszyscy gapią się na mnie niemal z cieka-
wością, tak jak się patrzy na kogoś, kto właśnie wetknął rękę

w gniazdo jadowitej żmii.

– Zanim podejmiesz decyzję, chciałbym, żebyś sobie na coś popatrzył – powiedział Wołczek i kiwnął na Arturasa.

Ten podniósł torbę sportową i otworzył ją.

W środku leżała głowa Jacka. Poczułem, jak wywraca mi się żołądek – do ust napłynęła ślina. Zwymiotowałem, zakryłem usta i zacząłem się krztusić. Wyplułem. Walcząc, by nie zemdleć, chwyciłem siedzenie. Zaciskałem palce tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórzaną tapicerkę. Nie potrafiłem już udawać spokoju.

– Sądziłem, że Jack to zrobi. Myliliśmy się. Ale z tobą już nie chcieliśmy ryzykować, Flynn – mówił Wołczek, pochylając się ku mnie. – Mamy twoją córkę.

Czas, oddech, krew, ruch – wszystko zamarło.

– Jeśli tylko ją tkniesz...

Z kieszeni spodni wyjął telefon komórkowy i podsunął mi tak, żebym mógł widzieć ekran. Amy stała na ciemnym rogu ulicy przed kioskiem z gazetami. Moja mała dziewczynka. Miała tylko dziesięć lat. Stała gdzieś tam, na jednej z ulic Nowego Jorku, obejmując się rączkami z zimna, patrząc ze strachem w obiektyw. Za nią na ekranie widniał nagłówek o statku handlowym, który w sobotnią noc zatonął na rzece Hudson.

Czułem, że moja koszula jest mokra od potu. Pot na twarzy i we włosach. Ale już nie czułem strachu – nic mnie nie obchodziły bomba na plecach, rewolwer i dwóch niemych olbrzymów wlepiających we mnie martwe spojrzenia.

– Zwróć mi ją, a pozwolę ci żyć – warknąłem.

To wywołało śmiech Wołczeka i jego ludzi. Kojarzyli mnie jako Eddiego Flynna, adwokata; nie znali dawnego Eddiego Flynna – cwaniaka, bandyty i oszusta. Tak naprawdę ja też już zupełnie o nim zapomniałem.

Wołczek pochylił głowę; kiedy się odezwał, wydawało się, że starannie dobiera słowa:

– W twojej sytuacji nie powinieneś tak mówić. Nie bądź głupi. Twojej córce nic nie grozi, pod warunkiem że zrobisz to, co ci powiem.

– Wypuść ją. Nie zrobię nic, póki nie będę miał pewności, że jest bezpieczna. Zabij mnie, jeżeli chcesz. Jeśli zaraz jej nie wypuścisz, to nawet lepiej, żebyś mnie zabił, wtedy może uda mi się zabrać cię do grobu z kciukami wbitymi w twoje gały.

Wółczek zaciągnął się cygarem; otworzył usta i przez chwilę nie wypuszczał dymu, delektując się aromatem.

– Twoja córka jest bezpieczna. Wczoraj odebraliśmy ją przed szkołą, gdy czekała na szkolny autobus, i zabraliśmy na przejażdżkę. Jest przekonana, że ludzie, którzy się nią zajęli, to ochrona pracująca dla ciebie. Kiedyś już grożono ci śmiercią i ona o tym wie. Twoja była żona myśli, że Amy pojechała ze szkolną wycieczką na Long Island. A szkoła jest przekonana, że córka jest z tobą. Wróci za dzień, dwa. Ale jeżeli nam odmówisz, zabiję ją. To jednak nie będzie najbardziej przykre. Postaramy się, żeby przed śmiercią cierpiała. Niektórzy z moich ludzi...

Celowo przerwał, jakby szukając właściwych słów, i pozwolił, by wyobraźnia dostarczyła mi koszmarnych wizji, co może się stać z córką. Czułem napięcie w każdym mięśniu. Adrenalina spotęgowała wściekłość.

– No, niektórzy z moich ludzi mają ogromny apetyt na ładne małe dziewczynki.

Rzuciłem się na Wółczeka. Zerwałem się z siedzenia, zanim doszło do mnie, co robię. Nie mogłem tego dłużej znoś; pochyliłem głowę i wymierzyłem cios prosto w lewy policzek. Z jego ohydnej gęby wyleciało cygaro, a ja, łapiąc równowagę, cofnąłem lewą rękę, chcąc go wyrzucić pięścią w gardło.

Zanim zdążyłem zadać drugi cios, ogromna łapa chwyciła mnie za kark i cisnęła na podłogę. Odwróciłem się i ujrzałem nad sobą tego psychola z głową jak dynia. Już chciał mnie chwycić za tyłek, jak niegrzeczne dziecko, ale odezwały się

we mnie dawne nawyki. Prawą ręką chwyciłem go za twarz i z całej siły wbiłem paznokcie w gąbczaste czoło. To natychmiast wywołało u niego dekoncentrację i zanik świadomości. Lewą rękę wsunąłem do kieszeni jego kurtki i wyciągnąłem portfel. Trwało to ułamek sekundy. Szybko i gładko. No, przynajmniej nie straciłem przez te lata sprawności i szybkości. Klasyczne podwędzenie portfela. Duży nawet tego nie zauważył; był zbyt zajęty odpychaniem mojej głowy. Wsuwając portfel do kieszeni, ujrzałem nad sobą pięć wielkości talerza obiadowego. Odwróciłem się, by uniknąć ciosu w twarz, i poczułem piekący ból z tyłu czaszki. Padłem, uderzając głową o podłogę limuzyny.

Leżąc, poczułem niesamowity ból głowy. To była moja pierwsza robota kieszonkowa od piętnastu lat. Instynktowna, bo taki właśnie byłem.

Nie... bo taki właśnie jestem.

Umiejętności, które wykorzystywałem i udoskonalałem – nie byłem zwykłym kanciarzem, ale artystą w tym fachu – to: rozkojarzanie, sugestia, perswazja, ogłupianie i ostatecznie atak. Te same metody stosowałem także od dziewięciu lat w salach sądowych. Zmieniły się tylko okoliczności oszustwa.

Moje oczy i umysł okryła gęsta ciemność.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ocknąłem się na skórzanym siedzeniu. Bolała mnie potylicyca. Jeden z goryli – duży blondyn, sprawiający wrażenie, jakby właśnie stracił miejsce w szwedzkim zespole heavymetalowym – trzymał na moim karku woreczek z lodem. Od słodkiego, gryzącego zapachu cygara Wołczeka zaczęło mi się zbierać na wymioty. Pewnie podnieśli mnie z podłogi limuzyny i rzucili na siedzenie. Oczy piekły mnie od dymu, ale szybko się zorientowałem, że tego olbrzymiego psychola, który mnie rąbnął, nie ma już w aucie. Chwyliłem łód i rzuciłem na podłogę.

– Jesteśmy niedaleko gmachu sądu – oznajmił Arturas.

Usiadłem.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ proces pana Wołczeka zaczyna się dziś rano – wyjaśnił.

– Dziś rano? – powtórzyłem zdziwiony. Przywołałem w myślach obraz córki w telefonie Wołczeka i poczułem gniew potęgający ból w karku i napięcie w mięśniach.

– Proces ma się zacząć za godzinę. Ale zanim tam pójdziesz, musimy mieć pewność, że zrobisz to, o co cię prosimy. W przeciwnym razie najpierw zabijemy cię, a potem twoją rodzinę – powiedział Arturas. Wyjął rewolwer i położył go na kolanie.

Podał mi drogą szklanekę napełnioną płynem koloru uryny.

Pachniał jak bourbon. Wychyliłem go i poczułem znajome cierpkie ciepło. Był to mój pierwszy drink od odwyku. Przez sekundę pomyślałem, ile jestem winien klinice, lecz szybko pozbyłem się tych myśli – nie były to czas ani miejsce do roztrząsania problemu nadużywania alkoholu, czy też w ogóle do zastanawiania się nad czymkolwiek.

Wyciągnąłem rękę po następną kolejkę i Arturas nalał mi z karafki. Szybko przełknąłem, ciesząc się palącym ogniem w gardle. Wstrząsnął mną dreszcz i próbując zebrać rozproszone myśli, potrząsnąłem głową, jak potrząsa się shakerem, mieszając Magic 8-Ball, nie udzieliłem jednak odpowiedzi na jego słowa.

– Gdzie jest moja córka?

– Na razie jest bezpieczna i szczęśliwa – odparł Arturas. Nalał mi kolejną porcję. Odsunąłem szklankę i próbowałem zebrać myśli.

– Dlaczego zabiłeś Jacka? – zapytałem.

Wółczek skinął na Arturasa, chętnie udzielając mu zgody na przedstawienie szczegółów.

– Wszyscy prawnicy mówili, że po zeznaniach Benny’ego Wółczek zostanie skazany za morderstwo. Najsensowniejsze byłoby więc zabicie Benny’ego; to najprostsze rozwiązanie, ale nie mogliśmy go znaleźć. Nakłanialiśmy więc Jacka, żeby włożył kamizelkę, byśmy mogli zabić Benny’ego, gdy wejdzie do sądu. Ale on nie chciał tego zrobić.

Zastanawiałem się, w jaki sposób go nakłaniali. Niewątpliwie był torturowany. Jack był dupkiem uzależnionym od hazardu, ale nie był już moim współnikiem i moje uczucia dla niego nieco osłabły. Z pewnością nie zgodziłby się nosić na sobie bomby. Nie miał nawet ochoty nosić własnej teczki. Musieli nad nim ciężko pracować.

– Dlaczego Jack? – zapytałem.

– Bo był nietypowym prawnikiem. Wiedzieliśmy, że założyliście kancelarię za forszę pożyczoną u lichwiarza. Jack miał

opinię krętacza i nie spłacał długów. Potrzebował forsy; po twoim odejściu klienci zaczęli unikać firmy, a my szukaliśmy kogoś, kto przemyci bombę niezauważony przez ochronę. A sąd ma dobrą ochronę i dziś będą się jeszcze bardziej starać. My nie możemy tego wnieść. Przeszukują wszystkich wchodzących, skanują, a potem znowu przeszukują. Wszystkich, z wyjątkiem ciebie i Jacka. Wiemy o tym. Od miesiący obserwowaliśmy, jak wchodzić do gmachu sądu. Nigdy was nie przeszukiwano. Ochrona pozwalała wam przejść jak starym znajomym. Powiedzieliśmy Jackowi to samo co tobie: włóż kamizelkę z bombą i wejdź do budynku.

Arturas rzucił szybkie spojrzenie Wołczekowi. Tworzyli zgrany duet: Arturas prosto i klarownie wyłożył karty i wydawał się zadowolony, że teraz szef będzie musiał poradzić sobie z zastraszaniem mnie.

– Jack siedział na twoim miejscu, Flynn, zaledwie przed trzema dniami – zaczął Wołczek. – Miał na sobie tę samą kamizelkę, z tą samą bombą. Powiedzieliśmy mu to co tobie. Potem otworzyłem drzwi limuzyny i powiedziałem, żeby wyszedł i zrobił to, co do niego należy. – Spuścił wzrok, wpatrując się w podłogę.

Po chwili z szarego dymu cygara wyłoniła się jego głowa.

– Jack zastygł w bezruchu – kontynuował. – Zaczął się trząść jak... jak to nazywacie... jak paralityk? Po nodze spłynął mu strumyk moczu. Zatrzasnęliśmy drzwi auta i zawieźliśmy go do nas.

Ssąc cygareto, Wołczek obserwował żarzący się czubek.

– Przywiązałem go do krzesła. Powiedziałem, że zabijemy jego siostrę, jeśli nie zrobi tego, o co go proszę. Ten tu, Wiktor – wskazał blondyna – przyprowadził do nas tę kobietę. Wyjąłem nóż i przeciągnąłem nim po jej twarzy. „Zrobisz to teraz?”, zapytałem. Nic. Ciąłem drugi raz, a on tylko siedział.

Czułem się tak, jakby mi ktoś założył kłamrę na piersi. Ten potwór miał moją córeczkę. Zaskoczył mnie nagły trzask

– to stawy palców strzeliły z napięcia, gdy zacisnąłem dłoń; w drugiej ręce trzymałem pustą szklankę i myślałem o ciśnieniu nią w Wołczeka. Ale powstrzymałem się. Poprzedni atak zakończył się dla mnie źle, nie chciałem zarobić drugiego ciosu w głowę.

Jeszcze nie teraz.

– Wtedy zorientowałem się, że nie mogę polegać na Jacku. Zanim go zabiłem, dałem jego siostrze możliwość wyrównania rachunków. Podałem jej nóż. Pomogłem jej pociąć brata, brzydko pociąć...

Jego oczy płonęły ogniem. Zdawał się rozkoszować tymi wspomnieniami.

– Jack podpisał na siebie wyrok. Odciąłem mu głowę i podałem siostrze. Potem zabiłem ją. Była dzielna. Nie tak jak jej brat.

Spojrzałem na torbę leżącą na podłodze, teraz wielkodusznie zamkniętą, i pomyślałem o Jacku. Przypomniałem sobie, jak bardzo go nienawidziłem. Gdybym mógł, jednym kopnięciem wysłałbym tę odciętą głowę wprost do nurtu Hudson. Jack zastrzył sobie na to, żeby spoczęła na dnie rzeki obok zatopionego statku.

– Nie mamy czasu na czczą gadaninę – odezwał się Arturas. – Nie zdejmuj kamizelki z bombą, Flynn, uspokój się, przemyć ją i pamiętaj o córce, wtedy ją uratujesz. Jeżeli cię złapią, pójdziesz do więzienia za próbę wysadzenia w powietrze budynku publicznego. Możesz dostać dożywocie, bez warunkowego zwolnienia. Co o tym myślisz?

Myślałem tyle, że ma rację. Ludzie próbujący wysadzać budynki w tym mieście zwykle nie mogą się spodziewać łagodnego wyroku. Niewątpliwie zostałbym skazany na spędzenie reszty życia w więzieniu. Jedyne, co mogłoby przemawiać na moją korzyść, to fakt, że zmuszono mnie do przemycenia bomby i byłem szantażowany groźbą zabicia córki. Nawet skrajny przymus nie jest jednak wystarczającą obroną,

choć być może ta okoliczność pozwoliłaby mi uniknąć dożywocia.

Na twarzy Arturasa znowu ukazał się ten obrzydliwy uśmiezek. Odniosłem wrażenie, że odgaduje moje myśli. Wołczek zgasił cygaro i gapił się na mnie przez rzadniejący dym. Pomyślałem, że obaj są bezwzględnyimi bandziorami, a każdy z nich jest na swój sposób inteligentny. Arturas był mózgiem całej akcji – doradcą Wołczeka. Jego szef z kolei był powolny, poruszał się niczym kot czający się w wysokiej trawie na ofiarę; cechowała go inteligencja wyższego rzędu, niemal zwierzęca intuicja. Instynkt podpowiadał mi, że ci ludzie nie wypuszczą mnie żywego, bo istniało ryzyko, że wszystko bym wygadał, bez względu na to, co się stanie.

– Od dawna nie byłem w sądzie. Skąd wiecie, że będę mógł tam wejść bez przeszukania?

– Znasz ochroniarzy i, co ważniejsze, oni znają ciebie – powiedział Arturas. Mówił coraz głośniejsze, akcentując każde słowo. – Długo obserwowaliśmy ten budynek. Spędziłem prawie dwa lata na planowaniu najmniejszego szczegółu. Temu, kto ma przemyścić bombę, ochrona musi ufać, to musi być ktoś, kogo się nie sprawdza. Innego sposobu nie ma. Obserwowałem cię, jak spóźniony wbiegasz do sądu; kiwałeś strażnikowi przy biurku i przechodząc przez bramkę, uruchamiałeś alarm. Ignorowali to i odpowiadali machnięciem ręki. Rozmawiałeś ze strażnikami. Dobrze cię znali. Znali nawet twój numer telefonu.

Nie używałem komórki, choć swego czasu dostałem od Jacka niejedną. Nie znosiłem myśli, że ktoś może mnie zlokalizować dzięki najbliższej wieży komunikacyjnej. To był kac z przeszłości, z której nigdy się nie otrząsałem. W czasach, gdy praktykowałem, przez większość dnia przebywałem w sądzie. Jeżeli ktoś pilnie mnie potrzebował, dzwonił na telefon stacjonarny w lobby sądu. Zwykle ochroniarz wiedział, gdzie jestem, i tam mnie łapali. Sprawę załatwiał

kilka butelek whiskey dla chłopców z ochrony na Boże Narodzenie i koszt dla każdego na Święto Dziękczynienia, jako drobny upominek za tego rodzaju przysługi.

Trochę mi się rozjaśniło w głowie.

– Dlaczego nie załatwicie tego faceta w inny sposób? Może snajper, kiedy Benny będzie w drodze do sądu?

Arturas skinął głową.

– Myślałem o tym. Rozważyłem każdą możliwość. Ale nie wiemy, gdzie on jest i w jaki sposób przewiozą go do sądu. Nasz sposób to jedyne wyjście. Wszystkie poważne firmy prawnicze działające w tym mieście badały tę sprawę. Ty i Jack większość spraw prowadziliście tu, przy Chambers Street. Znasz cały personel. Tamci prawnicy oczekiwali dziewięciuset dolarów za godzinę. Myślisz, że mieliby czas gadać z ochroną? Nie. Wiedziałem, co robić, gdy tylko zobaczyłem ciebie i Jacka, jak przechodzicie przez kontrolę, uruchamiając alarm, i nikt nawet nie mrugnął. To ty podsunąłeś mi rozwiązanie.

Arturas był w swoim żywiole. Wyraźnie on odpowiadał za ten plan. Wydawał się w jakimś sensie zdystansowany, racjonalny i wyobrażałem sobie, że zachowałby się identycznie w chwili pociągania za spust. Inaczej Wołczek. Nawet jeśli sprawa wrażeń spokojnego, po tym, jak go uderzyłem, czułem, że za tym pozornym spokojem czai się bestia, gotowa w każdej chwili skoczyć mi do gardła.

Skryłem twarz w dłoniach i oddychałem wolno, głęboko.

– Jest jeszcze coś, Flynn – rzucił Wołczek. – Musisz wiedzieć, że należymy do bojowników. Jesteśmy dumni, twardzi. Jesteśmy Bractwem, a to oznacza braterstwo. Ufam temu człowiekowi. – Położył rękę na ramieniu Arturasasa. – Musisz wnieść kamizelkę do środka. A jeżeli coś pójdzie nie tak, jeden telefon i twoja córka umrze. Wiem, że tam wejdziesz. Jestem pewny. W tobie też widzę bojownika. Lubisz walczyć... tylko nie walcz ze mną.

Przerwał, żeby zapalić następne cygaro.

– Ja i Arturas przybyliśmy tu przed dwudziestoma laty z niczym. Żeby znaleźć się w miejscu, w którym teraz jesteśmy, rozlaliśmy morze krwi. Nie dotarliśmy do celu bez walki. Nie jesteśmy głupi. Proces został zaplanowany na trzy dni. Tobie dajemy dwa. Więcej nie możemy ryzykować. Dwa dni na wystawienie Małego Benny’ego, żebyśmy mogli go zabić. Jeżeli nie umrze jutro przed szesnastą, nie będę miał wyboru, będę musiał uciekać. Im dłużej sprawa będzie się wlokła, tym bardziej prawdopodobne, że oskarżyciel spróbuje uchylić moje zwolnienie za kaucją. Tak mi powiedział ten prawnik, który bierze dziewięćset dolców za godzinę. Jesteś dość mądry, żeby wiedzieć, że miał rację.

Miewałem już z czymś takim do czynienia. Na początku, kiedy oskarżony ubiega się o zwolnienie za kaucją, większość oskarżycieli nie dysponuje jeszcze przytłaczającymi dowodami winy. Badania DNA, przygotowanie ekspertyz biegłych – to wszystko trwa. W tym czasie sprawa trafia do sądu i zaczyna się proces. Jeżeli prokuratura zgromadzi wystarczające dowody, a oskarżyciel dobrze je zaprezentuje i uzasadni, można złożyć do sądu wnioski o cofnięcie zgody na zwolnienie za kaucją. To zwykle pieczętuje los oskarżonego. Ale to jeszcze nic: całe to odwleknięcie pozwala funkcjonariuszowi więzienia założyć podsądnemu kajdanki, tak by widzieli to sędziowie przysięgli. Krótki rzut oka na bransoletki – i załatwione. Za każdym razem sędziowie przysięgli wydają wyrok skazujący.

Skinąłem Wołczekowi głową. Wiedział, że byłem wystarczająco doświadczony, by znać taktyki postępowania oskarżenia, dlatego nie miałem żadnych powodów zaprzeczać.

Przedstawiając mi ultimatum, starał się ukryć w głosie swoją prawdziwą, brutalną naturę.

– Sąd ma mój paszport, to jeden z warunków zwolnienia za kaucją. Trzy razy w roku otrzymuję towar z Rosji. Przylatuje prywatnym samolotem na lądowisko niedaleko stąd. Ten

samolot będzie tu jutro o piętnastej i zostaje na miejscu do osiemnastej. Jeżeli o szesnastej Benny będzie jeszcze żył, tobie zabraknie czasu. O tej godzinie muszą opuścić sąd, żeby zdążyć na samolot. To dla mnie ostatnia szansa opuszczenia Stanów Zjednoczonych. Ale chcę tu zostać. Chcę walczyć. Mały Benny musi umrzeć jutro przed szesnastą albo zabiję ciebie i twoją córkę. To mogę ci uroczyście przyrzec.

Szklanka z whiskey drżała mi w ręce.

Czułem się, jakbym spadał. Moje ciało stało się ciężkie, bezwładne, szczeka drżała i musiałem mocno zacisnąć zęby, żeby nie dzwoniły. Z rozciętej dłoni kapała krew, ale nie czułem bólu. Nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem się skupić. Ciężko mi było oddychać.

Jeżeli coś się stanie Amy, ból mnie zabije. Na samą myśl o tym czułem, jak płoną mi mięśnie, mózg i serce. Moja żona, Christine, dużo wycierpiała z mojego powodu – długie godziny w biurze; telefony o trzeciej w nocy z komisariatów całego miasta, gdy gliniarze aresztowali kogoś z moich klientów; spóźnienia na kolacje i wieczne przeprosiny, że robię to wszystko dla niej i Amy. Kiedy rok temu sięgnąłem po butelkę, Christine mnie rzuciła. Straciłem coś, co było dla mnie najcenniejsze. Czy teraz mam stracić córkę? Nawet nie mogłem dopuścić myśli o podobnym horrorze.

Nagle usłyszałem dochodzący skądś głos mojego ojca, człowieka, który nauczył mnie, jak wyłudzać forszę, człowieka, który powiedział mi, co robić, gdy wpadnę jako naciągacz – „Musisz przetrwać, bez względu na wszystko”.

Zamknąłem oczy i cicho się modliłem.

Drogi Boże, pomóż mi. Pomóż, proszę, mojej dziewczynce. Tak bardzo ją kocham.

Otarłem oczy, zanim zaczęły płynąć łzy, pociągnąłem nosem i przewinąłem menu na zegarku cyfrowym, ustawiając stoper na odliczanie.

– Musisz podjąć decyzję, prawniku – powiedział Arturas,

dotykając rewolweru.

– Zrobię to. Tylko nie krzywdźcie Amy. Ona ma dopiero dziesięć lat – powiedziałem.

Wółczek i Arturas spojrzeli po sobie.

– Dobrze – rzucił ten drugi. – Teraz już idź i jak przejdziesz przez kontrolę, zaczekaj na mnie w lobby.

– Chciałeś powiedzieć: jeżeli przejdę przez kontrolę.

– Czy mam powiedzieć twojej córce... żeby się za ciebie modliła? – zapytał Arturas.

Nie odpowiedziałem. Przyglądał mi się, jak wychodziłem z auta na chodnik.

– Pamiętaj. Obserwujemy cię, a nasi ludzie mają twoją córkę – rzucił przez okno limuzyny.

Skinąłem głową i powiedziałem:

– Z tobą na pewno nie będę walczyć.

Kłamałem.

Tak jak oni okłamywali mnie. Nieważne, co mówili, nieważne, co mi obiecywali. Nawet jeżeli jutro o szesnastej Benny będzie już płamą na suficie sali sądowej, oni i tak nie wypuszczą Amy. Będą chcieli zabić mnie i moją małą córeczkę.

Miałem tylko trzydzieści jeden godzin.

Trzydzieści jeden godzin na przechytrzenie rosyjskiej mafii i odzyskanie córki. I nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. Otuliłem się ciasno płaszczem i zapiąłem go. Położyłem kołnierz. Skręciłem do sądu. W uszach ciągle brzmiał mi głos ojca: „Musisz przetrwać...”. Dłoń przestała krwawić. Czułem, że jest mi zimniej; wydawało się, że mój oddech zamarza i spada przede mną na chodnik. Kiedy lodowata mgła przerzedziła się, zobaczyłem coś, czego w ciągu dziewięciu lat codziennej praktyki nigdy w tym sądzie nie oglądałem – kolejkę, może ze czterdzieści osób, złożoną z prawników, świadków, oskarżonych, reporterów i ekip telewizyjnych – wszyscy czekali na przejście przez kontrolę ochrony.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).